NUMER 52. DNIA 24. GRUDNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W siedmdziesiątą pierwszą rocznicę zgonu o Maurycym Mochnackim przypomnienie.

Miłość Ojczyzny! — o to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem.
Umrą? — ich duchy lecą przed narodem.
Słowacki: „Wacław“.

„Po śmierci Mochnackiego, rozebrawszy ciało, loktorowie znaleźli serce rozszerzone a wszystkie rgana żywotne tak zużyte, jak u zgrzybiałego tarca. Siatka, która okrywa serce, była tak rzadką wycieńczoną, że stała się przeźroczystą“.

A nie pieściwa ręka wygód rozhartowała to erce na burze wypadków, że im uległo! a nie wszeczeństwo stargało przedwcześnie organizm. „Polska otężna i niepodległa była jedynym romansem mej łodości. Myśl, że prędzej, czy później Moskwę jej petersburskimi carami zapędzimy w stepy azjackie, była jedyną poezją mego życia!“ — pisze m Mochnacki.

Wytężona zawsze praca myśli; niezmierne boctwo wewnętrznego przeżywania doznanych i doedzianych zdarzeń, bogactwo znakomicie wspomane potężną i żywą i subtelną fantazją; uczucia rzące się, silne, głębokie; wola krocząca z upodoniem po linji największego oporu; charakter naętny, samotniczy, dumny; bujne wreszcie dzieje ych czasów jako tło i gleba, z której wyray kolizje konieczne między tą z natury władczą enialną jednostką, a między otoczeniem, roli ejowej niedorosłem; to wszystko strawiło na ponienspożyte siły Mochnackiego, to wszystko do eństwa przyspieszało tętno serca, odmieniało rę czasu, przeto żył potrójnie szybko. Zbyt poy duch zerwał w końcu struny owej „harfy ej“; niestało tak wielkiej duszy ciała i odeszła ośrodka prac.

Urodził się M. Mochnacki 13. września 1804 w Bojańcu pod Żółkwią. Od wczesnej młodości myśli jego ku sobie wiodła „ta konna, płomienista i pancerna, — ta roznośna jak powiew wiatrów jesiennych, jak nawalne burze grzmiąca sprawa Polski“. U starożytnych autorów zaś wyczytane bohaterstwa Greków i Rzymian (znał oba te języki dzięki ojcu doskonale) z całą ich, spiżowo nakazującą czyny podobne, potęgą — będące niemal na oczach wypadki wielkiej rewolucji, zapasy genjusza Napoleona z Europą, Kościuszko i Racławice, legjonów „Jeszcze Polska nie zginęła“ i Samosierra i Wagram i tyle, tyle innych ofiar pieśni tej na świadectwo — wielkością a sławą grały mu w duszy. Pamiętać też trzeba, że otoczenie tudzież warunki, wśród których młodość swą przeżywał, nie jak u Mickiewicza lub Słowackiego dla różnych okoliczności utrudniały dokładne ujęcie i przejęcie się epoką — przeciwnie: wychowywał Maurycego ojciec, obywatel światły, nie szczędzący się w zasługach dla publicznej sprawy. To też Polska, wielkość i bohaterstwo zajęły sobie na kościół duszę Maurycego Mochnackiego.

W r. 1820 z domowej nauki przeszedł Mochnacki na uniwersytet warsz., na wydział prawa. Zamierzał oddać się służbie dyplomatycznej. Inaczej padł los. W r. 1823 uwięziono go jako członka akad. gminy Tow. patrjotycznego; po 11 miesiącach śledztwa wypuszczono go wprawdzie, ale zakazem WKs. Konstantego odjętą mu została możność nie tylko sprawowania publicznych urzędów, ale nawet możność kończenia studjów. Nie pomogło wstawiennictwo i wpływy ojcowskie. Zmuszony dawnych zamiarów poniechać, zwrócił się Maurycy na pole literackie, pracował kolejno w „Dzienniku

warsz.“, „Gazecie polskiej“, „Kurjerze polskim“ — prawie aż do wybuchu powstania. Tej również pracy zawdzięczamy dzieło Mochnackiego: „O literaturze polskiej XIX. w.“

W nocy 29. listopada czynny brał udział. Początkowo na formację insurekcji nacisk znaczny wywierał, wkrótce jednak, urażeni śmiałością, jasnowidztwem i gwałtownością młodzieńca, patentowani zbawcy narodu — postanowili się niewygodnego pozbyć. Wywleczono t. zw. pismo karmelickie*), nie zaniedbano niczego, coby wpływ Mochn. na opinję zniweczyć mogło. W tych warunkach, czując bezsilność swoją, wstępuje Mochnacki do wojska; ranny pod Grochowem, po raz wtóry pod Ostrołęką i dalej służyć niezdolny, wraca do Warszawy – wśród rozchwiewających się nadziei — służyć radą, krzepić ducha. Zwolna opinja stawać poczyna za nim; niewczesny żal już naprawić błędów niemożny. Warszawa kapituluje; Rybiński zdaje się Prusom; Mochnacki z innymi idzie na emigrację. Tam pisze nieporównane swe dzieło „Powstanie narodu polskiego“ — niestety nieskończone.

Przygotowującemu dalsze materjały, usiłującemu natchnąć ziomków nowym duchem poradnej już i zwycięskiej wojny, tęskniącemu i wierzącemu w to przyszłe zwycięstwo, wysilone życiem ciało odmówiło służby i zmarł Mochnacki 20. grudnia 1834 r. w Auxerre.

Rozważyć działalność Mochnackiego z dwóch stron musimy: jako krytyka i historyka literatury i jako wielkiego męża stanu Polski, bo na tę godność pasują go świetne dzieło o „Powstaniu narodu polskiego“, pełne roztrząsań i wskazań dla przyszłej polityki narodu, oraz znakomite rady i uwagi, hojną rozsypane ręką, w licznych artykułach politycznych.

Znaczenie Mochnackiego jako krytyka, zasadza się — jak wiadomo — w zwalczaniu konsekwentnem a nieodpartem starczego pseudoklasycyzmu a w zdobyciu dla narodowego romantyzmu należnego uznania. Ostateczną, walną rozprawę z pseudoklasykami stoczył i wygrał w dziele o literaturze. W tym względzie trafnie określa stanowisko jego J. Bartoszewicz.**) „Zwycięstwo było jawne i uroczyste. Dzięki Mochnackiemu nowi poeci stali się ulubieńcami narodu. Mickiewicz ogromnyn narodowym wieszczem. Jeżeli był nim sam prze się, naród cały uznał go dopiero przez Mochna ckiego“. „...Geniusz to Mickiewiczowski — mów dalej — ale nie miał pola rozwinąć się w pełni Za zbyt go życie rwało ku sobie, żeby został obok Mickiewicza i Lelewela największym pisarzem swego czasu“. Na ostatnie zdanie nie zupełnie się godzę, powiedziałbym, że Mochnacki mimo to jes jednym z największych mężów i pisarzy nietylko swej epoki, ale i całej literatury polskiej. „Za zby życie rwało go ku sobie“; w tem właśnie tkw istota jego zasług. Brakło mu warunków, by zosta Lessingiem naszym (może i większym) warunków nie umysłowych, a terenu pracy i potrzeb chwil On jednak pierwszy związał dorobek literatury po skiej początku XIX. w. z życiem narodu, z któreg wyniknęła — on pierwszy, a tak jak to uczyn jedyny, ukazał, według swych zapatrywań, piśmie nictwo poetyckie odroślą pnia i gleby macierzyst i nietylko, bo jeszcze złączył je z wiecznotrwaj cemi usiłowaniami ludzkiej jaźni, dążącej do uświ domienia sobie roli swej i znaczenia w wszechświeci jak Mochnacki wyraża się do „uznania się w swe jestestwie“. „Wyrażenie ducha, wyciągnięcie my wspólnej na jaśnią, ogólna masa wszystkich raz wyobrażeń i pojęć cechujących narodu istotę s nowią literaturę tego narodu“. Widzimy tu taine'ows teorję o wpływie rasy, środowiska i momentu dz jowego — odzianą w formę pozytywnego impe tywu twórczości. Jest to trafne, głębokie i real Nie dostaje wprawdzie Mochnackiemu ścisło w definicjach, niejedno innym dziś nazwalibyś terminem, właściwszym, dokładniejszym, lecz j bez uprzedzenia iść będziemy za istotną ch myśli Mochnackiego uznamy, że rdzennie pra jego prawdami i dziś niezaprzeczonemi będą.

W tej właśnie szerokiej podstawie filozofic i społecznej, z której wywodzi czasowe zjaw twórczości — leży racja uznania go wielkim hi rykiem literatury swego czasu. Na świetnych chara rystykach, na uwagach krytycznych, przesiąknię poczuciem życia i rzeczywistości, uwagach, k nie przebrzmią, opiera się prawo nazwania go nialnym krytykiem i niepospolitym estetykiem. I łalność jego jako krytyka wystarcza już na pa o nim.

Jednakże Mochnacki niezapomnianym jest powinien s t a t y s t ą naszym p r z e d e w s t k i e m. Sprawie narodu oddał całe życie. N pisma swe krytyczne uważał za sposobienie i umysłów do insurekcji, do wszelkich wyzw

*) Szczegóły życia podaję według życiorysu Mochnackiego, umieszczonego w tomie I. pism. Tam też odsyłam czytelników po bliższe wyjaśnienia, nie mając za zadanie kreślić obszernej monografji; tam również znajdą ochotni nieprzebrane skarby myśli i wspaniałego stylu.

**) J. Bart. Hist. lit. pols. t. II. Str. 181. Wyd. II.

Około tego słowa — wywolenie — skupia się treść wszystkich jego myśli, dążeń, czynów. Wyzwolenie od obcej przemocy, wyzwolenie krzywdzonych od ucisku i krzywdy społecznej, wyzwolenie myśli od obskurantyzmu i przesądów, od usypiającej w ciszę powagi autorytetów.

Polityczno - społeczne „credo“ wyraża dobitnie w jednym z artykułów, pisanych w czas samej walki, tych dziwnych artykułów, ujmujących tak znakomicie, co błędem było a co należało czynić, tak znakomicie, że one wraz z „Powstaniem narodu polskiego“ najlepszy, z małemi modyfikacjami, stanowią sąd postępowania Polski w r. 1831, sąd w słuszności swojej dziś dokumentami potwierdzony. Otóż w jednym z nich powiada: „Zginęliśmy dla tego, że nie większość, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem. Zginęliśmy dla tego, że rewolucja socjalna nie zmieniła wzmiankowanego niestosunku. Złe było radykalne! Kościuszko podniósł oręż w sprawie insurekcji a powinien był walczyć w sprawie rewolucji socjalnej, jak radził Kołłątaj“. Później odmienił się trochę radykalizm Mochnackiego, złagodniał; sprawiły to panujące na emigracji waśnie. Przecież nie ustał, tylko w inną formę się ubrał, w złudzeniem nacechowany optymizm, że spadek w konstytucji majowej zawartych reform w myśl jej da się przeprowadzić nobilitacją chłopa, — nobilitacją wszystkich. Zasług to jednak Mochnackiego nie obniża, nie znosi prawdy, głoszonej w rewolucyjnej epoce.

I wielkim wodzem i wielkim ofiarnikiem na drodze ku wyzwoleniu wiedzie nas; — „duch leci przed narodem“. Słuszna więc, żeby dziś, kiedy godzina poranna swobody bije dla Warszawy, miasta, które ukochał, kiedy sejm w Warszawie marzymy mieć polski, słuszna jest, jeśliby gmach sejmowy stanął, serce to wielkie w kamień węgielny wprawić. Niech na tym czuwającym pomniku — fundamencie stanie zbór obrad, ku poprawie doli narodu zdążających i niech u czoła gmachu ostrzega napis: „Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materjalnych, ale zginie terroryzmem nierozumu“. Napis: przestroga. I ten drugi: „Zginęliśmy dla tego, że nie większość, ale mniejszość była u nas narodem“.

Czyż nie zasługuje?

* * *

„Wierzę w respublik jedynego syna.
Mochnacki nim był u nas — ten kostera“
...Co przegrał życie w walce o prawdę, wolność, ojczyznę.

We Lwowie 20. grudnia 1905.

Adam Zagórski.

FRANCISZEK MIRANDOLA.

* * *

Nie z ciebie, szczęście, wziąłem dar
Widzenia wielkich jutra mar,
Kochania moc
Tych zórz, co skryte jeszcze śnią,
Zaległe ciężką, siną mgłą,
Zapadłe w noc...

Nie z ciebie, zdroju wiecznych złud,
Mą cichą wziąłem wiarę w cud,
We wstanie dusz
I nie twój wichr mię w przyszłość gnał
Nad zimne, ostre igle skał,
Naprzeciw zórz.

Nie w twej gontynie brałem chrzest
Na to, com był, na to, com jest,
Rozwiewny wid,
Od fal targany zwiędły liść —
Lecz tem potężny, że ma iść
Otrąbić świt.

W noc ciemną mi się przyśnił dzień
I uwierzyło serce weń
W przeróżny czas —
Kiedy do chaty w pustce pól
Zapukał suchą dłonią ból
I zbudził — nas.

JASEŁKA
MARJI KONOPNICKIEJ.

Z każdemi świętami Bożego Narodzenia przypominają się tym zwłaszcza, którzy ze wsi pochodzą, przeróżne mysterja i szopki, jakim się przypatrywali w długie wieczory zimowe. W jednych okolicach, jak n. p. w Krakowskiem są te szopki już udoskonalone i w pewną całość artystyczną zamknięte, gdzieindziej przedstawiają li tylko fragmentaryczne jakieś sceny, nie wiążące się ze sobą logicznie i ściśle, mimo to zawierające w sobie dużo poezji, humoru i dowcipu. Usiłowania stworzenia z tych owoców twórczości ludowej, z tego zawiązku polskiego dramatu czegoś, coby było i pięknem i nowem, a równocześnie zamykającem w sobie całą prostotę i piękno jasełkowe, pozostawały do niedawna li tylko usiłowaniami. Zachodziła bowiem w pisanych „Jasełkach" jedna zasadnicza pomyłka, nie chodziło w nich o wieś polską, a o kantyczki.

I z prawdziwą radością oglądało się w ubiegłym roku „Betlehem Polskie" L. Rydla w teatrze lwowskim, mimo, że to „Betlehem" jest w wielu scenach srodze naciągnięte. Ale jedna rzecz jest tam piękna: mianowicie styl. Krakowski styl.

A oto z niniejszemi świętami przyszła do nas z Trzejkrólową gwiazdą Marja Konopnicka. Przyszła jako zwykle, z płonącem umiłowaniem ziemi polskiej i jej ludu, z wielkim giestem, z zadumą rycerską. I jeżeli idzie o formę „komedji" wiejskich, to utrafiła w sedno: należy jednak dodać, że je uszlachetniła, podniosła do cennej wartości artycznej, błyskając przecudnym a tak prostym wierszem.

Wędrowali Trzej Królowie
Z za dalekich mórz,
Nie wiedzieli, że za nimi
Idą łany zbóż.
Nie wiedzieli, że do szopy
Wszystkie nasze walą chłopy,
Na tę jasność zórz.

Po odśpiewaniu, lub wyrecytowaniu prologu, jeśli tak można nazwać słowa ,,Chłopców z gwiazdą Trzejkrólową", następuje istny rój ludu, zamieszkującego ziemie polskie. A więc pierwszy powiada Piast:

Ni od chleba, ni od wody
Zawszem rześki, zawszem młody,
Tylkom z pracy nad tym łanem,
Nad tem polem ukochanem.

I przechodzą przed nami postaci Mazurów, Krakowiaków, Kujawiaków, jest ci tam i smętny Góral-druciarz, Pińczuk, Kurpie, nie przepomniano ładnej historji o Owczarku i Kasi, przyszedł tu i Jankiel-cymbalista, Organista z żoną, Flis, Kowal, Górnicy, Kosiarze, Pasiecznicy, Piaskarze, Emigranci, a nawet djabeł chłopski, paskudny Boruta... Każda z tych postaci przepowie coś cudnem słowem o swej dziedzinie i zawodzie i odejdzie dalej, by nie zajmować miejsca innym, co jeszcze nic nie gwarzyli...

„Jasełka" Konopnickiej winny być wystawiane przedewszystkiem na wsi. Wyzwolone z fabuły kantyczkowej, są one nie tylko prostą a głęboką poezją, ale także nadzwyczaj miłem, barwnem pouczeniem. Poubierane odpowiednio, stylowo, postacie „Jasełek" Konopnickiej wzbudzą w wiejskim widzu prawdziwe zainteresowanie; pouczy się on z dźwięcznych, gorących słów poetki, że polska ziemia sięga szeroko i daleko, od mórz do mórz, od niebotycznych wałów gór po kraje czarnych chłodów. I w niejednym obudzą te „komedyje" czy „śtuki" pragnienie zwiedzenia tej ziemi, ukochanie jej przecudnych obszarów i serdeczne umiłowanie jej mieszkańców - braci.

Trudności w wystawieniu „Jasełek" Konopnickiej na wsi nie widzę zgoła żadnych, tembardziej, że tak bajeczne ilustracje p. Bukowskiego, jak i słowa autorki odrazu wskazują styl przedstawienia. Stroje według rysunków, czy też specjalnych pouczeń (np. przez nauczycieli ludowych) wykonają wiejskie dziewczęta z tanich materjałów — reżyserję poprowadzi zaś każdy światlejszy gospodarz, który zna konstrukcję szopki i był choć raz w teatrze. Zresztą dla nauczycieli ludowych jest tu szerokie a wdzięczne pole do działania.

I byłoby pięknem a pożytecznem, gdyby „Jasełka" te nie tylko recytowano, lecz także śpiewano, gdzieby to było możliwem do osiągnięcia. Wiersz przeważnie ośmiozgłoskowy, prosty, z bliskimi rymami, śpiewny, wejdzie odrazu w pamięć wiejskiego aktora. Co do melodji, to rzecz trudniejsza o tyle, że nie wszędzie i nie wszyscy potrafią zaśpiewać. Ale to przy tak pięknym wierszu niekonieczne.

Należy dodać, że książka Konopnickiej, wydana nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego, jest nadzwyczaj bogato i pięknie ilustrowana. Motywy krakowskie znalazły świetnego stylistę w p. Bukowskim, który na polu zdobnictwa książkowego zdziałał już u nas wiele.

Część drugą książki — muzyczną, wykonał p. Maszyński.

Feliks Gwiżdż.

Mirys i Silvestre.

(Urywek z dziejów barokowego malarstwa w Polsce).

Makaronicznym, bombastycznym panegirykom w literaturze odpowiadają liczne, pełne pompy i patosu portrety możnowładców. „Jezuici chwalili swych dobrodziejów, księża — kolatorów, szlachta — magnatów, senatorowie — siebie nawzajem; za najcenniejszą zaletę człowieka w Polsce uważano znakomite pochodzenie" mówi Kitowicz. Kiedy Holandja malowała mieszczan — w Polsce sztuka mówi jedynie o istnieniu senatorów — do dworów i zamków, do przynależnych do nich kościołów idą niezliczone portrety wojewodów, kasztelanów, fundatorów, wyższych władz duchownych, biskupów, generałów.

Zrazu jeszcze proste; lecz później draperje zaczynają się barokowo kłębić, postacie nabierają świetnego blasku władzy — tem bardziej, że zwolna zaczyna w stroju przenikać obca moda zachodnia, co tyle na blask łożyła. I faktycznie też odróżnić można odtąd dwa rodzaje portretów: jedne w polskim, drugie w cudzoziemskim stroju, jak dwa zaczęły się wyrabiać kierunki — konserwatywny i nowatorski.

Sylwester de Mirys maluje portrety, obrazy religijne i mitologiczne i przez to jest najzupełniejszym wyrazicielem ducha czasu. Posiada wielką umiejętność malarską, a w jego robocie i pojmowaniu portretu przebija się lekkość i żywy temperament. Niegładzeni to jeszcze ludzie, białostoccy, podhoreccy, gdańscy niedźwiedzie, których przedstawia, u których widać siłę — nie zaś pozór siły, władzy. To jeszcze stare, nieugięte, żelazne pokolenie, które może występkiem, ale nie chytrym sprytem żyje i dobija się i jeżeli w postaci ich przebija się moc i panowanie, to dlatego, że są one w nich naprawdę. Mirys nie dodaje im blasku przez pełny chełpliwej pozy ruch, nie ubiera ich we fałdziste, powłóczyste szaty, nie stawia obok stolików barokowych z emblematami władzy, ani nawet nie rozpościera za nimi pejzażu, na którym by umieścił sztafaże, ilustrujące potęgę portretowanych. Tło jego jest proste, jednostajne; kolor jasny, białawy. Takie są jego portrety Rzewuskich we Lwowie i w Podhorcach, takim portret Centnerowej w Ossolineum. Jak w swych portretach nie kadził, ale przedstawiał, tak też postępował i w życiu. Było ono całem pasmem awantur i przygód, „które niemal za tło powieściopisarzowi posłużyć by mogły. Było tam i złe w mniemaniu malarza obejście się z nim księcia i długie więzienie, pojedynek i pokonanie aż dwóch przeciwników, wskutek zaś tego ukrywanie się po klasztorach, to u pań znakomitych".

Na starość w białostockim zamku wspominał awanturnicze, piękne, pełne chwały dzieje swej młodości, jak wraz z ojcem towarzyszył wygnanemu angielskiemu królowi Jakóbowi w ucieczce do Francji, jak potem przybył do Rzymu, jak go tam papież mianował rycerzem złotej ostrogi, jak go potem na jego nieszczęście namówił ks. Jabłonowski, by z nim jechał do Polski.

Co temperament z korzyścią ujął Mirysowi, to w całej pełni przejawia się u barokowego Louis de Silvestre'a. Wyrósł w otoczeniu dworu Ludwika XIV. Ojciec jego, to ów Israël de Silvestre „delineator regis", co tak pilnie i niezmordowanie sztychował dla króla - słońca jego pałace, zamki i ogrody, jeździł po Włoszech, Hiszpanji, a nawet do Persji zajechał i stworzył owe „cierpliwe, pracowite" album z widokami, ówczesny „Świat w obrazach". Silvestre tedy wychował się w tych pojęciach o władzy najwyższej od Boga pochodzącej, oglądał jej wieczną glorję i apoteozę, współczuł z jej blaskiem i nie inaczej sobie władców wyobrażał, jak tylko pełnych wyniosłości, zimna, patosu, niedostępności. Kiedy J. B. Vanloo i Hiacinth Rigaud, przy podobnych zresztą rysach, mają jednak jeszcze wiele wdzięku — Silvestre jest niemal po hiszpańsku etykietalny, surowy, zawsze pełen godności, chmurny; takim jest na swym portrecie Augusta II. w drezdeńskiej galerji na tle kłębiących się chmur armatniego dymu wśród bitwy. (Jużto obłoków chętnie używał, jakby dla wzniesienia swych postaci w wysokie, podniebne sfery — podobnie, jak lubiał na pierś swych bohaterów wdziewać pancerze, dawać im wielkie, rozwiane, bohaterskie fryzury „allonge", ustawiać ich bokiem do widza, ku niemu zaś zwracać w górę wzniesioną głowę i dumnie na niego spoglądać, a dłoń z wyrazem siły i pewności opierać o biodra). Takim też jest na portretach Augusta III. w tej samej galerji i innych w Willanowie i Ossolineum, takim na drezdeńskim wspólnym portrecie Augusta II. i Fryderyka Wilhelma I., — Marji Józefy austrjackiej, żony Augusta III., na lwowskim portrecie Ossolińskiego (z jego bowiem rąk ten obraz niewątpliwie pochodzi, czego katalog p. Pawłowicza nie skonstatował), takim w lipskim książęcym portrecie. Takim jest nawet również na swym olbrzymim obrazie w Dreźnie, przedstawiającym scenę zjazdu całej rodziny panującej saskiej.

Oczywiście wszystkie tkliwe uczucia rodzinne ustąpić muszą godnością nakazanemu ceremonjałowi. Scena cała rozgrywa się wśród zgromadzonego olbrzymiego dworu, a etykietalna, z dobrego tonu wynikająca sztywność przenika wszystkich. Wprawdzie z barokowego, amorkami przyozdobionego balkonu, udrapowanego nadto w uroczystą tak chwilę rozlegają się dźwięki gry na gitarze z pod palców polskich, w kontusze przyodzianych poddanych króla; wprawdzie uczucie po długiem niewidzeniu chciałoby się wylać — widać to po oczach, lecz formy trzeba zachować, a ten wyniosły ton, panujący nad uczuciami, opanowuje i więzi wszystkich i tylko ciekawość, ale nie współczucie i radość ujrzysz na twarzach zebranych. Takim samym też jest w swych scenach mitologicznych, w drezdeńskim „Nessusie i Dejanirze“, w willanowskich freskach: „Afrodyte i Satyr“, „Amor podaje swej matce strzałę“, „Latona z dziećmi i mężami, przemienionemi w żaby“, „Wenus puszczająca się w odwiedziny do Wulkana“, „Pluto porywający Proserpinę“ i t. d.

August bowiem, prawdziwy znawca i miłośnik sztuki, mający wszędzie swoich agentów — (w Paryżu w osobie malarza Rigaud) — sprowadził go do Drezna, a stąd do Warszawy, gdzie zdobił pałac saski i do Willanowa, który Silvestre również freskami przyozdobił i stał się tem zupełnie dla królewskiej rezydencji, czem był Le Brun dla Wersalu. Znakomity rysownik, zimny kolorysta, zamiłowany w białym, jakby przepudrowanym tonie, dworski, rezydencyjny w swej twórczości, takim samym też był w pojmowaniu życia i w swej karjerze nadwornego malarza i dyrektora Akademji sztuk pięknych w Paryżu. „Serenissimo Friderico Augusto Principi Regio Poloniae et Electorali Saxoniae offerebat humillimus et devotissimus Ludovicus Silvestre Junior“ — tak podpisał sztychy, które z jego dzieł „H. Sim. Thomassin filius sculpsit 1715“. I takim też nakoniec na portrecie pastelowym Rafaela Mengsa, wiszącym dziś w pastelowej sali drezdeńskiej galerji. Wygląda tam raczej na doświadczonego, wytrawnego mistrza ceremonji, niż na malarza.

Ale na tę do doskonałości posuniętą umiejętność, mistrzowstwo barokowych mistrzów trzeba szczególną zwrócić uwagę. Tworzyli oni wprawdzie akademizm, ale równocześnie stwarzali tradycję i wzory zupełnego opanowania rzemiosła. Obrazy ich nadto nie są pozbawione czysto malarskich problemów i efektów, bystrych spostrzeżeń i ciągłego posuwania się naprzód..

Na portrecie Marji Józefy przechodzi architektura w ogród. Pomiędzy drzewa ściele się blask słońca; a powietrze uzyskane jest zwracającą wprost na siebie uwagę (jak na ów czas) silną domieszką niebieskiego tonu. Wszystko jest traktowane niezmiernie szeroko i dekoratywnie. Jużto po rehabilitacji prymitywów należy się, by nasz historycznem i psychologicznem wyrobieniem szczycący się czas „zrehabilitował“ i barokowych mistrzów. Dlaczego w zabytkach sztuki babilońskiej lub egipskiej nie razi sztywność, pompatyczność? A jeżeli są ludzie, umiejący się zachwycać słusznie niezrównanymi wprost bronzami barokowymi francuskimi lub Berniniego — te same właśnie znajdą w mitologjach Silvestre'a i jemu współczesnych. Silvestre i jemu współcześni i ich następcy długo jednak jeszcze potem nie mogli opanować problemu konia. Wprawdzie szczegóły są u niego bardzo dobre, wprawdzie wszystko trzyma się razem i nie ma tego składania, jakie bywa często u prymitywów — ale nie ma jeszcze pilnej obserwacji natury, nie ma przedewszystkiem tradycji długotrwałej w tej obserwacji, ani studjów anatomji.

Już psy na holenderskich obrazach, nawet na olbrzymim drezdeńskim obrazie Silvestre'ą bliższe są prawdy, niż ich konie, których nawet Wouwerman naprawdę rysować nie umie. Patrzy na nie poprzez mgliste wyobrażenia, poprzez wspomnienia klasycznych koni. Ich nozdrza rozdyma w nienaturalny sposób, na przednich udach i tylnych łydkach przeładowuje w nienaturalny, assyryjski sposób mięśnie — pomijając już te niewystudjowane, konwencjonalne, patetyczne ruchy końskie.

Gdy ci dla swych mecenasów uprawiali portret i mitologię i szczepili równocześnie przez swą pracę tradycję malarską — zjawia się reprezentant innej charakterystycznej cechy epoki, jej dewocji — zjawia się pierwszy wybitniejszy malarz Polak — Szymon Czechowicz.

Marjan Olszewski.

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Dokończenie.)

To też przeczono o słuszności tej teorji, szczególniej z racji, że zauważano, iż podczas snu następuje przekrwienie mózgu; dalej przytaczano fakt, że uderzenie, trafiające w czaszkę, powoduje zwykle silne przekrwienie naczyń i usposabia chorego do snu; znowu z innej strony wiemy, że nie-

mowlęta po gwałtownych krzykach i długim płaczu, mają mózg przekrwiony i zapadają wtedy w sen głęboki. Porzucono więc te hipotezy i szukano innych; znaleziono je w zmianach chemicznych, zachodzących w tkance mózgowej i we krwi; mamy w tym kierunku stawiane liczne hipotezy i różne teorje tak n. p. Pfügle'a, Preyer'a, Purkinje-Duval'a, Vervorn'a etc. Ale nam w chwili obecnej nie chodzi o znaczenie hipotez i teorji, ani o ich uzasadnienie, mamy głównie na celu wykazać, że sen jest jednym z procesów fizjologicznych organizmu, mogący być modyfikowany i przeistaczany skutkiem warunków zewnętrznych.

Następnie, że sen człowieka nie różni się niczem nadprzyrodzonem od snu innych zwierząt ssących, do których całą budową swego ciała człowiek najnieodwołalniej należy. Koniecznością jest tedy wiedzieć, że sen w tej jego formie, jaką obserwujemy dzisiaj u ludzi, jest rezultatem procesu przyzwyczajenia, dziedzicznie przekazywanego, wszakże, jakiem już wyżej powiedział, może on być modyfikowany i przeobrażany siłą własnej woli osobnika, albo też mocą wychowania racjonalnego. Zmiany, jakie powinne być zaprowadzone, w celu uregulowania przyzwyczajeń odnośnie do snu u człowieka są rzeczą rozumnej pedagogji.

Na tem polu jednak dotąd prawie nic nie zrobiono, leży ono po dziś dzień odłogiem, bo nie chciano, czy nie umiano zrozumieć, że od przyzwyczajenia człowieka do snu takiego, lub innego, zależą jego losy życiowe, że sen długi wykształca leniwców, sen krótki sposobi do życia czynnego, że następnie całe plemiona nikczemnieją w skutek przyzwyczajenia do snu, tak zwanego bobakowego.

Zjawiska senne, fałszywie interpretowane przez naiwne umysły ludzi pierwotnych, a następnie przesądy i wierzenia, osnute na ich podstawie, i dziedzicznie przekazywane, odgrywały w historji człowieczeństwa ważną rolę, a i dzisiaj jeszcze tłumy nieoświecone i tłumy nie pragnące oświecenia wierzą w senne marzenia, uważając je za nadprzyrodzone zjawiska cudowne. Związek dusz, umożliwiony rzekomo we śnie, jest jedynym z najbardziej rozpowszechnionych wierzeń, za nim idzie wiara w proroczość marzeń sennych. Sny dały podstawę do wiary w zjawiska nadprzyrodzone, wychodzące po za granicę materji cielesnej.

Z marzeń sennych wyciągnięto wnioski najfałszywsze o życiu duszy po śmierci ciała, nadając jej postać cielesną. Człowiek śpiący widywał w marzeniach sennych zgasłych przodków swoich, we śnie oglądał swoich przyjaciół i rozmawiał z nimi, walczył z nieprzyjaciółmi, dawno uśmierconymi, ściskał dzieci swoje, przedwcześnie zgasłe etc. Te wszystkie widzenia, tworzące się we własnym mózgu jego, dzięki właściwości pamięciowej, przenosił człowiek na zewnątrz siebie i wierzył, zwiedziony złudzeniem sennem, w istnienie ich przedmiotowe t. j. w obecność ich po za granicą swej osobowości. W taki to sposób powstała wiara w istoty nadprzyrodzone. Stajemy tedy u wrót tajemniczości mitologicznych, teologicznych, filozoficznych. Do śpiącego człowieka zstępowali aniołowie z Nieba w postaci ludzkiej, bo duchów nawet nie umiał sobie człowiek inaczej przedstawić, jak w formie własnej osoby, nieświadomy tej konsekwencji, że forma ludzka jest wyłącznie do ziemi przystosowaną i po za nią istnieć nie może. Senne marzenia tworzyły najfantastyczniejsze obrazy. Dusza śpiącego wyzwalała się rzekomo z więzów cielesnych, by bujać po przestworzach świata, by widzieć przeszłość i przyszłość, by uzyskiwać namaszczenie na rodzicielstwo i synostwo bóstw, etc. Skutki tych wszystkich wierzeń, w marzenia senne, skutki wiary w ich faktyczną realność wtedy, gdy one istnieją tylko w obrazach, wytwarzanych wewnątrz organizmu przez działalność komórek nerwowych mózgu, dźwigamy, jak każdy niewolnik swoje pęta, nie śmiejąc myślą sięgnąć po wolność, po prawdę, z obawy, ażeby nawet myśli takie nas nie zgubiły; każdego, kto się chce wyzwolić z pod jarzma przesądów i stara się uwolnić innych, nazywamy wrogami społeczeństwa, ludźmi przewrotowymi, a kierowani fanatyzmem niewiedzy potępiamy wszelką naukę, wszelką prawdę, bo one przeczą naszym przesądom. Takie stanowisko wsteczne fanatyczne, niegodne myślącego człowieka, pokonane być powinno. Trzeba przyjść do przekonania, że prawda wiedzy nikomu zaszkodzić nie może, że ona jedynie zapewnić jest w stanie przyszłe szczęście ludzkości, że przeciwnie przesądy i zabobony są największym jadem dla ducha ludzkiego, one go zniepprawiają i ogłupiają.

Jeżeli zastanowić się chcemy nad tem pytaniem, w czyim interesie leży podtrzymywanie wiary w cudowność sennych marzeń, wiarę w proroczość snu? to na to odpowiedzieć można, że z jednej strony chodzi o to, wydawcom „senników egipskich“, rozkupowanych tysiącami, z drugiej strony przeważnie leży to w interesie tych, którzy mają pośrednią lub bezpośrednią korzyść, bądź fizyczną, bądź moralną, z głupoty i ciemnoty tłumów. Rzecz się ma tutaj zupełnie tak samo, jak z truciem ludzi za pośrednictwem alkoholu.

W pierwszym wypadku truje się duch ludzki dla marnego zysku, dla dogodzenia jeszcze marniejszej ambicji, w drugim wypadku truje się ciało bliźnich dla tych samych nizkich, nikczemnych, egoistycznych celów. Obie czynności są niemoralne, działaczy na arenie zwyrodnienia człowieczeństwa potępia wiedza i potępią przyszłe pokolenia, gdy światło do ich umysłu znajdzie przystęp łatwiejszy, niż w obecnej dobie, gdzie obłuda i wyzysk święcą swoje panowanie. Ciemnotę oświecić — obłudę wyświecić — oto są zadania wiedzy; mając te hasła za kierowników, iść śmiało powinniśmy naprzód, nic nas z drogi prawdy sprowadzić nie powinno.

Wnioski ogólne i główne, jakie się dają wyprowadzić na podstawie badań naukowych, tak odnośnie do snu samego, jak i do zjawisk innych, ze snem związanych, dadzą się ująć w krótkie następujące zdania:

1. Sen człowieka nie jest w swojej zasadzie czemś odmiennem od snu zwierząt.

2. Sen człowieka nie mieści ani w sobie, ani też w marzeniach sennych, nic cudownego, nadprzyrodzonego.

3. Senne marzenia są właściwe wszystkim istotom, obdarzonym pamięcią i centrami nerwowemi. Sen tylko u zwierząt najniższych bywa bez marzeń sennych.

4. Wiara w cudowność marzeń sennych była i jest produktem umysłu nieoświeconego.

5. Cudowności niema w przyrodzie, żadna nadprzyrodzona siła nie wkracza samowolnie w prawa przyrody i nie zmienia losów jednostek.

6. Największym jadem dla umysłowości ludzkiej jest wiara w cudowność w ogóle, a szczególnie wiara w cudowność marzeń sennych.

Dr. Benedykt Dybowski

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Iza Moszczeńska. „Nasza szkoła w Królestwie polskiem“. Uwagi na czasie. Lwów 1905. Księgarnia Narodowa. W pierwszym rozdziale niniejszej broszury, podnosi autorka pilność sprawy i konieczność roboty destrukcyjnej, któraby całkowicie obaliła szkołę rosyjską tak, iżby na oczyszczonem z rumowisk placu gmach nowej, naszej szkoły mógł swobodnie stanąć. Następnie szkicuje Moszczeńska obraz tego, czem zbojkotowana przez społeczeństwo szkoła była i żąda słusznie, by nietylko doświadczonego zła na przyszłość unikać ale, by z ujemnych właściwości dawnej szkoły pozytywne, dodatnie wysnuć potrzeby, — słowem, by nie negację stworzyć, lecz antytezę.

Główny błąd, na który baczyć trzeba w przyszłości jest ten, że szkoła nie powinna być polem walk o patenty i ulgi prawne. Wykształcenie jest celem szkoły.

Szkoły tworzyć ma krajowa komisja edukacyjna od społeczeństwa do tego uprawniona i przez społeczeństwo kontrolowana. Komisja ta dozorować ma również szkoły prywatne. Autorka opowiada się za swobodą nauczania; trzeba tylko uniemożliwić (ile się da) spekulację na tem polu. Ale mniejsza z tem, szkoła prywatna stanowiłaby bowiem na ogół bodziec postępu dla szkoły publicznej, byłaby żywym i ożywczym elementem wychowania publicznego, jako dużo podatniejsza eksperymentom nowych metod pedagogji.

W dalszym ciągu spotykamy omówienie różnych typów i stopni szkół. Za podstawę programów szkolnych przyjmuje autorka wytyczne, jakie dyktują potrzeby społeczne przedewszystkiem, a dalej dopiero specjalne potrzeby życiowe warstw i zawodów.

Ponieważ zaś niemożliwem jest obie te potrzeby równocześnie, a wyczerpująco, uwzględnić, więc podział: na szkoły ogólno-kształcące i ściśle zawodowe. Pierwsze poczytuje za niezbędne dla wszystkich przygotowanie do umiejętnego spełniania obowiązków obywatelskich, za walny środek uspołecznienia, drugie traktuje jako kwestję chleba.

Zastanawia się jeszcze autorka nad współdziałaniem szkoły i rodziców; proponuje w tym celu zasiadanie odnośnych związków rodzicie skich w pedagogicznej radzie odno śnej szkoły. — Ponadto, proponuj komisję sanitarno-hygieniczną, ró wnoległą i współpracującą z komisj edukacyjną. W końcu zajmuje si sprawą uniwersytetów; żąda jak na większego kultu nauki i nieobniża nia poziomu uniwersytetów prze forytowanie swojskich miernot pc hasłem: „to nasi“.

Uwagi pani Moszczeńskiej, pisa ne zwięźle, jasno — jednym uste kiem grzeszą, brakiem przejrzysteg podziału. Podział taki i dla autor przyniósłby korzyść, przez dokł dniejsze formułowanie kwestji zm szając ją do większej uwagi i subte niejszego na sprawy patrzenia, — te czytającemu ułatwiłby korzystani z książki. Niemniej cenny mamy m terjał w broszurze tej do przyszł dyskusji szkolnej w Królestwi wiele bezspornie trafnych rozwiąza kwestji. Lecz i dla naszych stosun ków, książeczka ta ma znaczną wa tość ogólną, czem się dla rozważ jących (choćby z grubsza) spraw szkolnictwa poleca.

Ad. Z.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.